

Portal „achbar ha-ir”, 26.04.2009

EITAN BAR-YOSEF

TRUDNO WBIĆ ZĘBY W TĘ SKÓRKĘ

„Krum” Hanocha Levina w wersji Krzysztofa Warlikowskiego, wystawiony w Tel Awiwie w ramach Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego, daje nużącą, ale wspaniałą lekcję dramatycznej interpretacji.



Foto: Stefan Okołowicz

„Krum” po polsku? Dwie godziny i 45 minut? Bez przerwy? No, dobrze, odpocznę chyba dopiero na tamtym świecie. Przecież, nie można zrezygnować z takiego przedstawienia – pokazującego izraelskiej widowni po raz pierwszy Hanocha Levina tak, jak rozumieją go i wyobrażają sobie inni. W tym przypadku Krzysztof Warlikowski, złote dziecko nowego polskiego teatru. Podobnie jak Krum-bohater, który porzucił swoją starą dzielnicę, ale wrócił do domu, aby ponownie spotkać miłość swej młodości i pejzaże dzieciństwa, tak „Krum”-spektakl wyruszył na zagraniczne wojaże tylko po to, aby wrócić do nas, do Tel Awiwu, ze swym cierpkim i wykrzywionym spojrzeniem, jak to jest w jego zwyczajach. Czy zda ten egzamin? Czy my wytrzymamy?

To jasne, że w przeciwieństwie do Kruma, który za granicą poniósł fiasko („Mamo, nie udało mi się za granicą, nie zarobiłem pieniędzy i nie stałem się szczęśliwy”), „Krum” warszawskiego teatru TR przybywa do nas z całym bogactwem pochwał i nagród, którymi został obsypany na międzynarodowych festiwalach. Fakt, że chodzi o Polaków dodaje spektaklowi jeszcze jedną, fascynującą warstwę. Otóż dramat „Krum” nie jest co prawda pełen tak dziwacznych imion jak Adat Jakiś i Pupcia, ale pani Krum („Gdy ty śpisz, nie czuję się winny”, rzuca jej syn, „Gdy nie śpisz, jestem winny”) to bez wątpienia typowa żydowska matka z Polski, przerastająca wszelkie (najgorsze) wyobrażenia, a życiowa nieudolność bohaterów, którzy krążą między bar-micwami, ślubami i pogrzebami, jest tym, co sadowi ich na balkonie, w ciemności, zagryzających ciasteczka i popijających herbatę. Mówiąc inaczej, jak wpływa polskość twórców i aktorów na izraelską polskość Levina? Co stanie się z niezapomnianymi replikami, kiedy zostaną odarte z gardłowych głosek hebrajskiego i zostaną odziane w nową wymowę, soczystą, szumiącą i świszczącą?

Odpowiedź jest złożona. Podobnie jak wieloletnia abonentka Teatru Kameri w podeszłym wieku, wyjmująca z torebki ostry, miętowy cukierek i starająca się zwinąć papierek p-o-w-o-l-i, p-o-w-o-l-i, aby – broń Boże – nie przeszkadzać w płynnym przebiegu sztuki, tak Warlikowski podszedł do tego tekstu z wielką ostrożnością, z powagą prawie przesadzoną, tworząc przy tym niechcący kilka efektów zgrzytliwych (przynajmniej dla widza izraelskiego), a nawet denerwujących. Warlikowski wsparł się wyświetlaniem filmów wideo (pokazujących obdarte mury domów 100-letniego Tel Awiwu, wyglądającego tu, jakby miał 1000 lat). Ciekawa decyzja opiera się na quasi-filmowym myśleniu w szczególności w tym przedstawieniu, a w dramatach Levina w ogóle. Scena w kinie (kończąca się stwierdzeniem Kruma: „Wstańcie nieszczęśni ludzie, film się skończył, wstydźcie się żyć”) i wzajemne relacje między nią a teatralną rzeczywistością, odzwierciedlają się na przykład w postaci długiego rzędu krzesel ustawionych w głębi sceny (scenografia Małgorzaty Szcześniak), korespondującego z pierwszym rzędem na widowni, wykorzystywanym często przez aktorów.

Ale Warlikowskiemu nie wystarczy wideo. W przedstawieniu wykorzystał także drag queen, wirujące, fluorescencyjne oświetlenie, chrześcijańską symbolikę, a przede wszystkim poważny ton, histeryczny, obciążający dialogi powagą prawie sztuczną. Truda, porzucona kochanka Kruma, zmuszona poślubić w ostatniej chwili wykpiwanego Taktyka, staje się tutaj kimś w rodzaju Ofelii, jeśli nie Leą (jak pamiętamy, na ubiegłorocznym Fetiwalu Izraela Warlikowski wystawił „Dybuka”): Krumie wyjdź! Nie wyjdę!

Rozziew między ciężkim i cierpiętniczym wykonaniem, a oryginalnym, wyświetlanym na ekranie tekstem Levina, tworzy dysonans niepokojący, ale fascynujący. Każdy, kto chociaż raz widział dramat Levina, może sobie wyobrazić typowe lewinowskie granie (wolę być ostrożny i dlatego nie powiem: granie właściwe), swego rodzaju ton buntowniczy, ale także nonszalancki, cierpki, szybki, nieco zdystansowany i ostry, coś pomiędzy nocną rozmową na balkonie przy okazji gry w karty, a malowniczym wodewilem. Natomiast Polacy wygłaszają swe kwestie krzykami, załamują ręce, łapią się za skronie z desperacją i wariacko chichoczą. To jest bardzo dziwne, ale także hipnotyzujące. Momentami czułem się jak elżbietański widz, przyzwyczajony do oglądania swego „autentycznego” Szekspira, który nagle trafił na nowoczesne i wyalienowane przedstawienie. Z jednej strony nie można się nie oburzyć (pomimo wszystko – prawie trzy godziny bez przerwy!). Ale z drugiej strony, to niezwykła okazja, aby przeżyć lekcję teatralnej interpretacji i podziwiać wspaniałą grę (bryluje szczególnie Redbad Klynstra jako Tugati).

I jeszcze jedna sprawa. To jest jedyny dramat Levina, który zajmuje się postacią i rozterkami artysty, czy kogoś, kto przynajmniej marzy o tym, aby tworzyć. Krum wraca do swej dzielnicy tylko po to, aby uwiecznić ją w wielkiej „powieści stulecia” i wtedy opuścić to miejsce na dobre. Wersja Warlikowskiego pokazywana w Tel Awiwie, budzi rzeczywiście głębokie pytania odnośnie napięcia między lokalnością a uniwersalnością, między autobiografią a fikcją, między twórczością a komercją („Powiedz mi, jak to jest”, pyta Cica Kruma, „że wszyscy zaczynają od sztuki, a kończą w sklepie?”). To jest męczące, ale zdecydowanie wspaniałe. Nawet jeśli w tę skórkę trudno wbić zęby. Wystarczą same okruchy, którymi spektakl obficie nas obsypuje, aby przekształcić ten nużący teatr w niezapomniany wieczór.

Tłumaczenie: K.D.Majus